18. NUMER. WRZESIEŃ 1910. ROK II.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Refleksye.

Lecz narodu duch zatruty —
To dopiero bolów ból!

Dobre są i błogosławione chwile wzniesienia ducha w narodzie, kiedy pierś się rozpręża oddechem głębokim, a ramiona kupią w sobie siłę, kiedy cała istota do najgłębszych osad poruszona jest wielką, wzbierającą radością życia, dobre to i błogosławione chwile, bo one są dla dusz rozoranych pługiem porywu — uprawą pod czyn.

W takie to momenty zasiewają się w duszę „wszczynające ruch“ ziarna wielkich w przyszłości wypadków, chwile „przyszłością brzemienne“.

Dobre są więc i błogosławione wszystkie te sprawy, które taki stan podniosłości dusz w narodzie sprowadzają. Wszystko, co wywołuje tajemną duszy przysięgę na wierność w czynie — błogosławione. Więc dobre są momenty wielkich w narodzie wspomnień przeszłości, dobre chwile faktyczne wartości dorobku przynoszących rozrachowań się teraźniejszości, dobra świadomość już spełnionych, społecznie doniosłych czynów.

Wszystko to ustawia fundamenty pod wewnętrzną duchową jedność w narodzie, a jedność jest twórcza. „Gdy tak człowiek po gromadzie spojrzy w dobry czas, toć na sercu rękę kładzie, jeszcze kupa nas!“

Dobre są w owocach swoich obchody rocznic, dobre to poczucie sprawności społecznej narodu, — jakie przynosi n. p. rozważanie „daru grunwaldzkiego“. Zasługą narodową jest świadoma celu praca publicystyki, budzącej to poczucie energji potencjalnej w szerokich pokładach narodu.

W tem wszystkiem jeden warunek: szczerość wobec siebie i jasne oko wobec Prawdy. Bez tego jesteśmy już w dziedzinie bałamuctwa narodowego, narodowej szopki, która tem tragiczniejsza, że suflerem jej: dobra, ale nieświadoma wola. A na fałszu i obłudzie budować nie można.

„Kłamstwa, jako środka politycznego próbowali u nas często najszlachetniejsi ludzie w najlepszym celu, zawsze ze złym skutkiem. Kłamano w towarzystwach tajemnych, przesadzając liczbę i siłę związków, aby tem łatwiej wciągnąć do konspiracji. Kłamano przed rewolucją dziwy o Chłopickim, kłamano potem w jego imię. Kłamano w powstaniach, rozszerzając fałszywe wieści dla zachęcenia; doświadczeni konspiratorowie i naczelnicy powstań zgadzają się na to, że nie mieli nigdy pociechy z ludzi, wciągniętych sztucznie; zemknęli oni zaraz albo psuli serce drugim, z wewnętrznego przekonania idącym za dobrą sprawą“ (Ad. Mickiewicz: „O starej taktyce stronnictw“ w „Pielgrzymie“ 13. czerwca 1833 r.).

A niebezpieczeństwo kłamstwa z przesady — w narodzie jak my, zbudowanym jedynie na wewnętrznej ostoi, na przeświadczeniu istnienia, nieopartym o państwową organizację, zawsze ante portas. Odpowiedzialność społeczna większa. Przeto caveant consules!

Wszystkie te zastrzeżenia potęgują się parokrotnie, jeżeli rzeczy, o których mowa, dzieją się na terenie, na którym stanąć muszą zręby przyszłości, na wsi polskiej.

Mam uporczywe wrażenie, że dziś w Polsce mało kto zdaje sobie sprawę z całości konsekwencji, jakie wynikają z hasła: w ludzie przyszłość. Ilustracją niejako i poparciem tego przeświadczenia stały mi się obchody grunwaldzkie na wsi. Czytałem setki sprawozdań, brałem sam czynny w tem udział — i przeświadczenie zostało. Ze sprawozdań tych bije mocna, wzbierająca radość, ona nadaje im koloryt zasadniczy. Tyle obchodów! nie pominięto prawie ani jednej wsi, uroczystości tak liczne, żywe!... I to wszystko chłopi, ci sami chłopi, co to przed laty 60...

Ale oko radosne nie zawsze obejmie dobrze przedmiot widzenia; chromatyzuje. Otacza go aureola, która tam może nie zawsze jest. Dobrze jest zachować oko trzeźwe. Naród, który się obawia prawdy o sobie, który się zasłania przed samym sobą szychem wielkiego gestu i słów pięknych, — naród taki idzie niechybnie w zgubę. Czy jest dziś w Polsce pełna moc odpowiedzialności?

Setki, tysiące obchodów było po kraju w ostatnich miesiącach. Prawda. A spytajcie się, ile z nich było dlatego tylko, że je urządzili miejscowi studenci, akademicy, spytajcie, w ilu miejscach władze gminne, kwiat wsi, robiły obchodowi trudności, „nam tu komedji nijakich

nietrza!“ Spytajcie, wielu to członków owych szumnych, chłopskich banderji paradowało po to tylko, by po pochodzie otrzymać od proboszcza czy dziedzica parę koron i te solennie przepić; by w tejsamej sali, gdzie przed chwilą padały wzniosłe słowa, uczynić sobie na zakończenie tańce, hulatykę w późną noc. Spytajcie, w ilu miejscach zdarzył się taki, mnie znany wypadek komendy naczelnika banderji grunwaldzkiej, snać byłego kaprala: Zug halt, absitzen!

A po skonstatowaniu tego wszystkiego, powiedzmy, ile w tych tysiącach obchodów było czynu narodowego, a ile „malowanego fałszu“? I więcej jeszcze! Powiedzmy sobie wręcz, w oczy: c z y j a t o w i n a?

Nasza przyszłość w ludzie, na wsi. Przyszłość — to niepodległa Polska. „Cecha zdrowego społeczeństwa jest ograniczanie egoizmu jednostek na rzecz ogółu“ — powiada Szczepanowski. Niepodległość zdobyć można tylko o f i a r ą wszystkich jednostek, stanowiących naród. Ofiarą 80% narodu, ofiarą chłopów. A kto dziś uczy chłopa ofiary, bezinteresowności? Z czem idzie się dziś „w lud“? Na jakich-to argumentach buduje się po wsiach „Kółka rolnicze“, „Kasy Reifeisena“, a już przedewszystkiem c z y t e l n i e T. S. L., czy którekolwiek inne? Jakim argumentem zyskuje się ludzi do oświaty? Czy przemawia się do serca, do poczucia łączności gminnej choćby, że ani wspomnę o narodowej, do bezinteresowności? Ależ gdzie tam! Do kieszeni się mówi, do brzucha, nie do duszy! Wojuje się jedynie argumentem zwiększonych zysków, rentowności.

Oczywiście! tą drogą trafi się do chłopa, który w wiekowej nędzy i niewoli wyrobił w sobie sporo chciwości i nieufności. Ale czy ta droga wiedzie do Polski? Czy mamy budzić świadomość narodową na wsi obietnicą mniejszych podatków, zniesienia szarwarków, kolczykowania świń etc. — w wolnej Polsce?

Wszelka praca, „postęp“ na wsi dokonywa się dziś po linji wzmożenia egoizmów i świadomość tego, co się robi, trzeba mieć jasno przed oczami. I wziąć odpowiedzialność za to. Bo są już owoce pracy! Jak młotem w ciemię, uderzyły mnie słowa Bojki na kongresie tarnowskim: „Wam ta w mieście łatwo cytować Słowackiego, my się liczyć musimy z tem, co jest na wsi. My tu nie mamy takiego animuszu, jak wy tam, panowie!“ Bo to były słowa strasznie prawdziwe, ale i słowa, które kryły rezygnację, zgodę ze „stanem rzeczy“ w duszach chłopskich. Straszny być musi ten „stan rzeczy“, jeżeli cofnął się przed nim człowiek o takiej duszy, jak Bojko!

Ale kto dziś przeciw temu „stanowi“ czynnie protestuje? kto mu nie pochlebia? A wobec tego czy długo jeszcze trzeba dowodzić, że dzisiejsza praca narodowa na wsi, praca w obliczu przyszłości najważniejsza — opiera się na trzęsawisku, że tą dotychczasową drogą nie zbudujemy gmachu Ojczyzny, że idziemy w przepaść, gdzie się gryzą między sobą rozwydrzone egoizmy. A może to przyszłość buduje się na „rozsądnem wyrównaniu interesów“?

Gorzkie, ciężkie te słowa. Niewiem, czy ujrzą one świat, bo dziś na szczerość wobec siebie nie zawsze sobie pozwalamy, boimy się czarnych szkieł, wolimy różowe. Ale wiem, że naród w sobie pewny strawi prawdę, choćby i gorzką. Pisałem to z wewnętrznem gorącem pragnieniem, by mi zaprotestowano, by mi pokazano, że się mylę, żem kalumnje popisał, a ja się przekonać dam. Jeżelim nieprawdę pisał — przejdzie nad tem świadomość polska do porządku, nie zaszkodzi to nikomu; jeżeli zaś prawdę, to może, może się choć jakie tysiączne „polskie czoło zakłopota“, zamyśli nad rzeczami, o które mi tu chodziło...

Stanisław Pigoń.

Klimek Bachleda.

Na cmentarzu w Zakopanem złożono w środę zwłoki króla przewodników tatrzańskich; u trumny tego górala, który żył jak dżentelmen, zginął jak bohater, jawiło się tyle deputacji, i zbiegły się takie tłumy ludzi z całej Polski, jakich nie widziano jeszcze w Zakopanem.

Bo też na uznanie zasłużył i swem życiem i swą śmiercią. Objąwszy po słynnych dawniej przewodnikach tatrzańskich, Jędrzeju Wali starszym, Macieju Sieczce i Szymonie Tatarze berło pierwszeństwa w swe krzepkie dłonie, dzierżył je przez lat dwadzieścia przeszło. Nie ma w Tatrach szczytu, nie ma przełęczy, na których nie stanęłaby noga Klimka Bachledy; on był odkrywcą nowych dróg, on zdobywcą dziewiczych dotychczas szczytów, on przewodnikiem i towarzyszem najśmielszych wypraw tatrzańskich. Imię jego zasłynęło od r. 1886, kiedy to po raz drugi wyszedł na Mnicha, uważanego przedtem za niezdobytą turnię, i wyprowadził nań prof. Potkańskiego. W r. 1894 wraz z Kazimierzem Tetmajerem jako pierwsi turyści wyszli na dziewiczy jeszcze wówczas wierzchołek Staroleśnej, jednego z najpiękniejszych szczytów Tatr. W rok później zdobył wraz z prof. Kleczyńskim szczyt Ganku, który dziś tak jest popularnym, a wówczas uchodził za niedostępny. Marzeniem Klimka było wynajdywanie nowych dróg w Tatrach. Wypatrywał przejścia tak długo, aż zbadał każdą płytę, każdy kominek, każdy żleb, każdą grań. Tatry przed nim nie miały żadnych tajemnic; w uznaniu jego zasług dla turystyki, węgierskie Towarzystwo ta-

trzańskie jedną z przełęczy między Duszym a Łomnicą na t. zw. drodze Jordana nazwało nawet jego imieniem.

Główne lata jego działalności wypadają na czas od 1900—1905, kiedy to wspólnie z Januszem Chmielowskim, a ostatnio też z ś. p. Mieczysławem Karłowiczem odbywali wycieczki tatrzańskie. Ślad ich widoczny w wydanym przez Chmielowskiego Przewodniku po Tatrach, „w Taterniku“, organie Sekcji Turystycznej T. T., oraz ostatnich kilkunastu rocznikach Towarzystwa Tatrzańskiego. Nazwisko Klimka Bachledy na każdej tam niemal spotkamy karcie.

Sława jego rozeszła się tedy szeroko, a u turystów cieszył się powszechnym szacunkiem. Pierwszeństwa swego strzegł ambitnie; gdy dowiedział się, że Jędrzej Wala znalazł drogę na szczyt Mięguszowiecki od południowej strony, śledził za nią na własną rękę tak długo, aż przyszedł w posiadanie tajemnicy i drogę odkrył.

Stary już był, lecz starał się iść z postępem czasu. Gdy przed laty kilku dwóch turystów śmiałych zdołało wedrzeć się na Żabiego Konia, Klimek nie chciał, by w Tatrach była jakaś skała, gdzie inni byli, a on nie, i podążył również na ów szczycik, uchodzący dziś za najtrudniejszy w Tatrach. Gdy niedawno zorganizował się Zakopiański Oddział Narciarzy T. T. Klimek na starość nauczył się jeździć na nurtach, by módz i w zimie brać udział w wyprawach tatrzańskich.

Lecz nie tylko jako przewodnik znanym był Klimek w Zakopanem. Rwał się do pracy obywatelskiej, organizatorem był i założycielem wielu pożytecznych towarzystw i instytucji. Jako kapitan miejscowej straży pożarnej brał gorący udział w każdej akcyi ratunkowej w Zakopanem i okolicy; wśród górali należał do tych, którzy swych towarzyszy chcieli dźwignąć na wyższy stopień oświaty i rozwoju ekonomicznego. Przystąpił też jako członek założyciel do Związku Górali, Towarzystwa Muzycznego i Kółka Rolniczego. Jeden z pierwszych przystąpił do Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, gdzie powołano go na zaszczytną ale ciężką godność zastępcy naczelnika.

Zaszczytów i pieniędzy nie pragnął. Gdy inni górale w ostatnich latach na gościach porobili ogromne majątki, Klimek, najsławniejszy ze wszystkich, żył skromnie w swej chatce przy ul. Kasprusie, a nędza nieraz zaglądała mu w oczy, szczególnie w ostatnich latach, gdy stary już był i schorowany. Dochód z przewodnictwa nie wystarczał na utrzymanie rodziny, również jak kawałek nędznego gruntu: dopomagał sobie jak mógł, pracując jako cieśla.

Rodzinę swą, złożoną z żony, dwóch córek i syna kochał ogromnie. Rozrzewniający przykład jego miłości ojcowskiej przytoczył w mowie pogrzebowej Wojciech Roj. Gdy pewnego roku w zimie zachorowała mu córka, Klimek siedział bezradny, nie mając pieniędzy na lekarza i lekarstwa. Doradzono mu wtedy puścić się w Tatry za świstakiem, którego sadło miało przywrócić zdrowie jego córce. Nie zważając na mrozy i śniegi, puścił się w Tatry — i wrócił stamtąd z świstakiem, ale równocześnie odmroził sobie obie ręce i nogi.

W ostatnich latach, czując, że się starzeje, rzadko wychodził w Tatry. Lecz nie sądzonem było, by taki orzeł skalny jak on, umierał w chacie. W Tatrach strawił życie — w Tatrach i śmierć znalazł.

Zawsze ochotnie brał udział w wyprawach pogotowia ratunkowego — poszedł i tym razem. Gdy członkowie pogotowia ratunkowego owej nieszczęsnej soboty zauważyli brak Klimka, żaden z nich nie śmiał nawet przypuścić, by spotkać go miało jakie nieszczęście. Zbyt dobrze znali jego zręczność i łatwość z jaką przechodził najtrudniejsze miejsca. I w Zakopanem nie wierzono zrazu w śmierć jego. Dopiero gdy upłynęło dni kilka zgroza ogarnęła wszystkich, rozpacz rodzinę, jasnem się stało, że Klimek zginął bohaterską śmiercią, chcąc ratować cudze młode życie. Nie jego już szukało Pogotowie Ratunkowe, ale jego trupa.

Lecz Tatry nie chciały dać sobie wydrzeć swego ulubieńca. Spowiły się w mgłę, otuliły śniegiem, a gdy mimo to odkryto je po całotygodniowych poszukiwaniach, broniły dostępu do nich strugi wody, lecącej ze żlebu. Dopiero gdy po dwudniowej pracy zwłoki znalazły się na dole, w dolinie Jaworowej, zniesione ze skał przez najdzielniejszych dzisiejszych górali Mamsarza, Tylkę i Wawryłkę, niebo rozjaśniło się, wyjrzało z za chmur słońce, a Tatry posępne wypuszczały ze zimnych objęć najszlachetniejszą ze swych licznych ofiar.

Obecnie dwa komitety krzątają się w Zakopanem nad uczczeniem pamięci Klimka. Jeden ogólny zbiera składki na rodzinę, oraz na budowę pomnika na cmentarzu — drugi, wyszły z łona lwowskiego Akademickiego Klubu Turystycznego na tablicę na Małym Jaworowym, której odsłonięcie zamierzone jest w pierwszą rocznicę śmierci. W ten sposób niechaj uwiecznioną będzie pamięć człowieka, który niespożyte położył zasługi dla poznania Tatr, a śmiercią swą zasłużył na cześć i podziw, dając dowód, że pod serdakiem górala kryje się serce bohatera, zdolnego do najwyższych poświęceń dla ogólnego dobra.

Dr. Mieczysław Orłowicz.

O wyzwolenie Aliny.

Kto jest Alina? Imię ich legjon. Wychowane na schyłku wieku, na przełomie nowego życia, nieszczęśliwe te i wykolejone istoty duszą się w atmosferze, której one same nie stworzyły. W połowie drogi szukają wrót wiodących na

słoneczne wyżyny swobody, ale u progu ich domostwa stanął anioł z mieczem ognistym i wzbrania wyjścia w imię świętych obowiązków...

Posłuchajcie jak się skarży jedna z tych dusz gorących a znękanych i smutnych. Przemawia do nas głosem serca, co krwią czystą broczy...

— W zaraniu mej młodości marzyłam, że rośnie we mnie moc, siła, natchnienie — że potrafię gwiazdy ściągnąć na ziemię. Obejmowałam kochaniem wszechświat — kipiała we mnie chęć pracy ofiarnej.

— I czekałam drżąc tej chwili, która przyjdzie, rozwali mocą dwa spleśniałe mury, wyłom w świat szeroki uczyni, wpuści słońce, wolne, gorące słońce... Marzyłam, niestety marzyłam tylko.

— Czułam, że wegetuję w kochanych ścianach omszałego dworku. Ale wierzyłam, że gdy przyjdzie o n, szeroko podwoje na blask otworzy i wprowadzi mnie w życie.

— Nadszedł, uznanie ogólne go otaczało. Był dobrą partją i człowiekiem uczciwym, ale mnie nie rozumiał. Zależało mu jako zamożnemu przemysłowcowi, abym reprezentowała godnie jego nazwisko.

— Zostałam matką. Moje dzieci zastały mnie chwilowo pogodzoną z losem. Postanowiłam żyć dla nich, ale i dla tych nieszczęsnych dzieci poddasz i suteryn, których nikt nie pieści. I zaczęłam pisać dla maluczkich o nędzy i łzach, jakie sieroctwo wyciska...

— Gdy usiadłam przy biurku, przerywał pracę płacz moich dzieci lub wołanie męża. Z sercem wezbranem rozpaczą zapytywałam siebie: Czy będąc kolejno córką i żoną, zostanę zawsze dzieckiem bez własnej woli?...

— Rozejść się z mężem nie mogę, bo ostać się nie zdołam o własnych siłach. Więc oczekuję z utęsknieniem chwili, bym zakończyła bezużyteczne dni kobiety...

Na to szczere, lubo może nieco naiwne wyznanie rozmarzonej Aliny, rzucone dawnej przewodniczce, dziś siwej już gołąbce, odpowiada surową, trzeźwa pozytywistka, przedstawicielka emancypacji:

(Te i następne wyjątki z polemiki z a i p r z e c i w Alinie przytaczam podług *Steru*, organu równouprawnienia kobiet polskich, wydawanego w Warszawie pod redakcją p. Kuczalskiej-Reinschmit 1910 Nr. 1—6)

— Alino, nieszczęśliwa, egzotyczna niewiasto i cały legionie istot cieplarnianych, wierzę, że wam jest źle, że nawet naprawdę często cierpicie, ale nic mi was nie jest żal. Wasze narzekania, wasze niezadowolenia płyną ze źródła nieznajomości życia. Musicie same siebie poznać, wytyczyć linję swego życia, by nią w następstwie konsekwentnie podążać.

— Większość Alin w młodości swej tylko marzy, nigdy nie myśli. A życie żony i matki jest pracą i obowiązkiem, lecz nie marzeniem.

Na skargi Aliny, że mąż uznał ją za zbyteczne w maszynie domowej kółko, że drogie jej dzieci zachowują się jak hałaśliwe zwierzątka, że cały ten kierat życia rodzinnego ugniata jej duszę, przypomina sroga Kazimiera, że nawet pilnowanie stanu mężowskiego żołądka, nawet upranie brudnego fartuszka córeczki, stać się może pracą przyjemną i ideową, trzeba jeno wiedzieć, d l a c z e g o to się robi.

— Piszesz, Alino, że posiadasz nieutuloną tęsknotę przemawiania do serc ludzkich, do szeptania ciepłych, dobrych słów spłakanym i smutnym. A nie masz słów miłości dla swoich dzieci. Dlaczego ty Alino swego najwierniejszego przyjaciela (wszak mówisz o jego wierności) do twoich wyżyn, do twoich światów pociągnąć nie zdołałaś? Trzeba było tego męża pokochać na prawdę. Trzeba było zapytać się samej siebie; czy masz do małżeństwa powołanie! A tyś w tak ważnej chwili życia, decydującej o twej przyszłości nawet dobrze nie zastanowiła się.

Aut-aut — albo twoje marzenia są naprawdę piękne, a w takim razie powinnaś się zdobyć na umiejętność i energję zrealizowania ich w życiu (wówczas nie będą cię wozić skrępowaną po balach, teatrach i koncertach) — albo marzenia twe są tylko szumnym frazesem...

Stanowcze te słowa p. Bujwidowej, jednej z przewodniczek ruchu o wyzwolenie kobiet poparła p. Stachiewiczowa w liście do Aliny:

Pani! — pisze ta druga Kazimiera — jesteś istotą błądzącą po omacku. Zapatrzona w siebie i swoje cierpienia, nie masz odwagi prawdzie spojrzeć prosto w oczy. A jedynie stykanie się z szerokiem, bezdennem morzem cierpień ludzkich, z otchłanią niezaspokojonych potrzeb i pragnień nieugaszonych, może dać zapomnienie o sobie.

— Masz do wyboru — kończy p. Stachiewiczowa: Swobodę własnych przekonań postawić na jednej szali i wywalczyć sobie urządzenie życia, niedopuszczające poniżenia własnej godności albo rozstanie się z mężem i stworzenie dla dzieci nowego środowiska. Burzom życia trzeba stawić czoło. Nie liczyć na żadne latarnie, bo noc tego jeno w płaszcz swój nie owinie, kto światło swe wykrzesze sam z siebie.

Obu Kazimierom odpowiedziała p. Romana Pachucka w te mniej więcej słowa: Alina nie jest winna, że nie przyniosła z sobą na świat mocy charakteru. Słusznie więc w rozterce duchowej zwraca się do swej dawnej przewodniczki, instynktownie wyznając, że ona poniekąd jest sprawczynią tego, co się stało. Niechaj teraz odważy się rozwiązać ciężkie pytanie: Ku gwiazdom, czy w dół? Czy ma pójść za pędem serca, czy zostać lalą, na jaką urabia ją otoczenie?

— Lecz ręka kierowniczki okazała się tchórzliwą, gdy miała zakreślić szerszy widnokrąg niewieście, której mgły zdają się niebosiężnemi skałami...

— Idź ku górze myślą — takie jej rady daje babina — a czynem pozostań z tymi — którym winnaś oddać się niepodzielnie! I dziwić się tu,

że w takiej atmosferze duszno było Alinie. Rzuć flirt — odzywa się Romana do Aliny — wyzbądź się bojaźni, co ci krępuje usta i ręce, przestań naginać się do nieznośnej taczki szarego, pełnego kłamstwa życia — a wtedy - bliżsi i dalsi uznają w tobie istotę, z którą będą się liczyć.

W obronie Aliny stanęła nieznana bliżej pani A. Z., kobieta dużej inteligencji. Bierze ona za złe srogim Kazimierom, że one jako mocne i silne przy spotkaniu ze słabemi i przez los lub co gorsza przez winę własną wykolejonemi istotami, znajdują dla nich jeno gorzkie wyrzuty lub zimne słowa.

— Za swą przeczuloną i wydmuchaną duszę Alina odpowiedzialną być nie może. To jej właśnie stała się krzywda — straszna, niedarowana. Rozkochano ją w szczygłach, pieśni i kwiatach, pojono marzeniem, usuwano od twardej pracy, a nie ćwiczono w zaparciu się siebie, swoich pragnień na rzecz ogółu, na ołtarzu idei lub dla jednego człowieka-męża.

— I stał się fakt niecofnięty. Marzące, bezmyślne dziecko zostało na całe życie związane z człowiekiem, obcym jej z ducha, oschłym, bezwzględnym — życia maszyną, poruszaną motorem stanowiska w świecie. Uczucie nie przychodzi na zawołanie. Najwznioślej pojęty obowiązek nie zdoła rozpalić w Alinie miłości ku osobnikowi, którego treść ujawnia rażące przeciwieństwo z jej duszą. Dlaczego zresztą ona, koniecznie ona, przez tyle wieków zaniedbana, brutalnie lekceważona kobieta ma być kierowniczką mężczyzny i siłą pociągać go ku wyżynom. Dlaczego on, ten dzielny, praktyczny mężczyzna, biorąc za żonę młodziutkie, niedoświadczone stworzenie nie poczuwa się do obowiązku, by je uświadomić i zaprawić do pracy?

— Panie nasze to wątłe trzciny, gnące się przy lada silniejszym powiewie wiatru. Chore to istoty, ale i one mają dusze, nieraz piękne, szlachetne i one mają prawo do szczęścia...

— Nawet dopilnowanie obiadu może się stać ciężarem dla kobiety nieprzyzwyczajonej do takiego życia. Zrobi to, gdy trzeba, ale z jakim wysiłkiem, z jaką męczarnią! Od Aliny wymaga się nieubłaganie, by na równi z Martą pracowała i z pracy tej była zadowoloną... Wszak ognistej klaczy arabskiej nie zaprzęgamy do pługa. Tylko kobieta ta, zostając żoną powinna wyrzec się swej natury, swoich upodobań, a stać się wzorową gospodynią i sobowtórem męża.

— Tylko praca odpowiednia i ukochana podnosi, uszlachetnia, a społeczeństwu przynosi korzyść. Nie przyniesie mu jej niewolnica batem obowiązku zapędzona do podtrzymywania ognia na domowym kominku, nie rozpali najmilsza żoneczka uczuć w oschłem sercu niekochanego mężczyzny...

— Alina nie jest dobrą matką — żalą się kumoszki — bo oddaje swe dzieci w ręce nianiek i bon. — Mniejsze złe — odpowiada pani A. Z. — aniżeli wychowywać je nie posiadając do tego warunków. Mylą się ci, którzy sądzą, że matka już z natury najlepszą jest wychowawczynią swego dziecka. Instynkt macierzyński popełnia błędy, a nawet zbrodnie większe, niż karane przez prawo morderstwa. Matki o wyczerpanych siłach i wyjałowionym mózgu zabijają dusze swych dzieci, ograbiają je z najpiękniejszych marzeń, z energji życiowej. Pedanterją i despotyzmem kradną im radość życia, poezję młodości... Zadręczają się usiłując ukochane swe zwierzątka przemienić w anioły. Takim kobietom należy odebrać dzieci, a oddać w ręce powołane, gorącą miłością swego zadania przejęte.

— Żadna z pań, nie posiadając sztuki krawiectwa, nie szyje sukni swej, lecz powierza to rękom doświadczonej krawczyni, dlaczego tak cenny, tak bezmiernie drogi materjał, jak duszę dziecka oddawać w ręce wątłe lub szorstkie, a przedewszystkiem nieudolne.

— Ostatecznie streszcza się pod koniec pani A. Z. — Alina powinna być sobą, ma mieć własne ideały i dążenia, a nie ma żyć dla męża lub dzieci, nie ma poświęcać się gospodarstwu, jeżeli nie czuje do tego zamiłowania.

I pani R. Zienkiewiczowa nie omieszkała dorzucić słówka o Alinie. — Alina rezygnuje z wyzwolenia, ale rezygnacją człowieka skazanego na śmierć. W tonie ironicznym jej skargi bezwzględne przeciwniki nie dosłyszały szamotania bolu, targania łańcucha niewoli. Pani Kazimiera na podobieństwo chirurga, amputującego choremu rękę, chciałaby jednem cięciem odjąć Alinie marzenia czcze i zgubne. Nie wchodzi w to, że cierpienia, choć urojone, są również dotkliwe jak rzeczywiste.

— Alina nie jest i nie będzie lwicą salonową ani kurtyzaną. Słowa wypowiedziane w żalu, że „będzie mężowi pomagać do utrzymania pozycji w świecie przez flirt“, to krzyk z pod serca wyrwany, krzyk prawdziwego dziecka, co bezsilne w swej rozpaczy woła rozżalone na matkę: „Dobrze, oparzę się, to będzie mamusia miała!“...

Pod koniec listu odzywa się pani Regina do Aliny w imię dorastającego pokolenia kobiet: Niech męka matek nie będzie bezpłodnem cierpieniem, niech znajdą tyle odwagi, by wbrew wszelkim przeciwnikom, dać córkom — zależnie od ich chęci i uzdolnienia — wykształcenie zawodowe.

Mężnie w obronie Aliny staje p. A Kulwiec.

— Tak wiele jest między nami — są jej słowa — żon k o c h a j ą c y c h z o b o w i ą z k u swych mężów, a nie dają one szczęścia ani sobie ani mężom. Grzechem jest włączenie w zbyt ciasne, ramki życia codziennego istot rwących się do lotu jedynie dlatego, aby stało się zadość — obowiązkom. Tak mało orłów wśród nas, a tak wiele bezskrzydłych! Istną plagą niewieścią jest to zastrzykiwanie w krew nakazów przystosowania do swego losu. Tak trudno otrząsnąć się z gniotu, co nas dusi i zdobyć się na zerwanie z najcięższem położeniem! Trzymane prawem męża i opinji przy kieracie obowiązków rodzinnych

nieprzygotowane do samoistnego życia giną najlepsze siły naszych kobiet. To też każdy głos protestu Alin, każdy wzlot ich myśli w podniebne strefy, winien być powitany zachętą raczej niż szyderstwem.

Na tem kończy się dyskusja za i przeciw Alinie w pismie walczącym o wyzwolenie kobiet, a przenosi się na łamy dwutygodnika poświęconego kulturze polskiej.

H. B.

A. Kallas.

Judasz Iszkarjot.

Fragment dramatyczny Kornelji Parnasowej poświęcam.

(Dokończenie).

SCENA III.

Judasz — Marja.

JUDASZ

— Ażali nie mogłaś tych wonności sprzedać za trzysta groszy i rozdać ubogim?

MARJA

...Objęła was jakowaś smętna zaduma...

JUDASZ

— Śledziłem za gwiazdą, która — jakby zatrzymała się w obiegu.

MARJA

Gwiazda?... Która?...

JUDASZ

Nie dojrzysz jej. To była myśl, która długo krążyła w wszechświecie, jak krążą w obiegu księżyc i inne planety... Czuję ciężar tej spadającej gwiazdy.

MARJA

Ach, że też nie słyszy was siostra moja, Marta!... Rzekłaby, jako opętała was zła choroba i wrazby pobiegła nagotować ziółek, iżby chorobę odpędzić.

JUDASZ

A ty Marjo?

MARJA

Nie uczynię tego, bo wiem, że są myśli tak wielkie i piękne, jako gwiazdy.

JUDASZ

!...Poznałaś kiedy myśl taką?...!?...

MARJA

Zda się, gwiazdy budzi i porusza słowem Mistrz nasz przesłodki... — Czy mogły nad tobą, Judaszu, tak strasznie zaciężyć słowa Mistrza naszego?

JUDASZ

— Cierpię... — Prężą się ramiona i uderzają o mur... — A mur ten trzeba zwalić!... Świat zdobyć dla myśli, której ciasno tu.

MARJA

...Strasznyś teraz... W oczach twoich łuna zabłysła i zgasła.

JUDASZ

Nie odchodź... Bądź przy mnie... Chwilę tylko bądź przy mnie... Kochałem cię... Kocham...

MARJA

Nie mów!...

JUDASZ

Wszystko mi zabrał. — Miłość ludu, — Myśl, którą-m wypieścił — a potem... i ciebie mi zabrał. — Tak, On mi i ciebie zabrał. Nie twoje ciało, boś ty Jemu, jak te kwiaty na które patrzy miłośnie, ale ich nigdy nie zrywa. Duszę twoją mi zabrał, — duszę twoją, która mojej duszy drugą połową była.

MARJA

Puszczaj mnie!...

JUDASZ

Słuchaj... Mnie przeklną wszyscy; będę między wami jak parszywy pies... wzgardzony, odepchnięty, prześladowany... Ale ty jedna wiedzieć powinnaś, żem wielki i potężny. To ja, Judasz Iszkarjot, Jemu kościół buduję i panowanie nad światem. A ci, którzy już zwątpili , na nowo zaufają. A ci, którzy weń jeszcze nie uwierzyli, uwierzą i pójdą za nim.

MARJA

Ach!... Więc i ty Go miłujesz!...?...

JUDASZ

Umiłowałem bardziej, niżli wy wszyscy. Myśl moja o nim była ze mną, zanim On był z wami.

MARJA

A teraz?...

JUDASZ

Wydam w ręce siepaczy.

MARJA

!...Przeklęty!...

JUDASZ

Pierwej, niż klątwę waszą, odczułem miłość Jego — i otom jest silny, nielękający się nienawiści waszej.

MARJA

Obłęd! Obłęd jakiś z ciebie przemawia!

JUDASZ

Nie możesz zrozumieć i ty.

MARJA

Ależ... dlaczego? Dlaczego zdradzić Go chcesz?...!?...

JUDASZ

Nazwałaś to zdradą — a wszakże spełniam tylko wolę Jego! — Trzeba, żeby ręce tyrana skrwawiły się krwią Wybranego, a dopełni się miara grzechów Rzymu, zaczem runie Jowisz, pan świata i runie Kapitol. Rzym największym wrogiem naszym. Takiego wroga Izrael nie miał przedtem nigdy. I póki Rzym panem świata, póty trwać będzie niedola Izraela!...

Koszyłowce wobec kultury neolitycznej Galicji wschodniej.

Z przedhistorycznych okresów kultury Galicji, okres neolityczny najwspanialej jest dotychczas reprezentowany w znacznej liczbie ciekawych zabytków, wydobytych w różnych miejscowościach kraju. Okres ten, zwany inaczej okresem kamienia gładzonego, charakterystyczny jest użytkiem kamienia jako najważniejszego — obok drzewa, kości i rogu — materjału, służącego człowiekowi ówczesnemu do wyrobu narzędzi i broni, potrzebnych mu jako rolnikowi, myśliwemu i rybakowi. Neolityczny bowiem mieszkaniec Europy uprawiał już rolę i zajmował wskutek tego stałe siedziby, trudniąc się hodowlą bydła, polowaniem na dzikie zwierzęta i połowem ryb. Znaczny to już postęp w stosunku do życia w poprzednim okresie dyluwialnym, w którym ludzie w bardzo małej tylko liczbie zajmowali niektóre cieplejsze kraje Europy, pokrytej przeważnie ogromnymi lodowcami i wiecznymi śniegami. Kraj nasz należał właśnie do najzimniejszych i wskutek tego nie był zupełnie w owych czasach zamieszkały, oczekując lepszej chwili w cieplejszym okresie następnym, kiedy lodowce stopiły się po części lub usunęły się w najwyższe góry, odsłaniając ziemię z kilka tysięcy lat pokrywających ją śniegów i lodów.

Cieplejszy klimat przyczynił się wnet do zalesienia odludnych kiedyś obszarów, nawiedzanych od tego czasu bardzo chętnie przez liczne gromady wszelkiego rodzaju zwierza, za którem w ślad potem okazał się po raz pierwszy w tych okolicach człowiek neolityczny. Z wyglądu bardziej już do dzisiejszego podobny, pędził początkowo swój żywot na polowaniach, później zaś osiadł stale na żyznej roli w pobliżu naturalnych traktów komunikacyjnych, jakimi wówczas były jedynie tylko rzeki. Praca koło roli połączyła się wnet z hodowlą bydła, tudzież wyrobem najniezbędniejszych narzędzi gospodarskich jak siekier, toporów, dłut, noży, skrobaczy, piłek tudzież naczyń glinianych.

Dziś właśnie z ziemi wydobywane wspomniane przedmioty stanowią dla nauki najważniejszą wskazówkę dla poznania i nakreślenia życia ówczesnego człowieka, kroczącego powoli po drodze postępu kulturalnego, ku wyżynom zajmowanym obecnie przez ludzkość. W wszystkich więc krajach cywilizowanych zajmują się uczeni pilnie tego rodzaju znaleziskami i na podstawie ich dochodzą do wspaniałych rezultatów, wyświetlających nam dzieje powolnego rozwoju kultury na całym globie. U nas praca ta ciężka spoczywa na kilku tylko pracownikach, zobowiązanych do badania obszarów, gdzieindziej podzielonych na liczny zastęp badaczy-specjalistów i uczonych amatorów. Kiedy też w innych krajach nauka prehistorji zawdzięcza najważniejsze swe rezultaty systematycznym badaniom licznych uczonych, to u nas jak niegdyś tak i obecnie przypadek odgrywa tu najgłówniejszą rolę. Dobrze już zaś kiedy znajdzie się ktoś, co potrafi wykorzystać przez los nasuniętą okoliczność i zajmie się umiejętnie dokonanem odkryciem. Wiele też strat poniosła dawniej nauka z powodu nieuctwa i nieumiejętności obchodzenia się z tego rodzaju zabytkami, ale w nowszych czasach sprawa przedstawia się nieco lepiej, chociaż zawsze jeszcze na przeszkodzie stoi brak odpowiednio wykształconych specjalistów. Od szeregu lat obowiązek ten spełnia u nas jedynie dr. K. Hadaczek, który obecnie jest jedynym w Galicji uczonym, oddającym się badaniom prehistorycznym. Jemu to zawdzięczamy zbadanie, jeśli nie odkrycie najciekawszych zabytków przedhistorycznych, dokonanych w ostatnich latach zwłaszcza w Galicji wschodniej, która dla archeologa i nadal jest prawdziwem eldoradem.

Jak już na początku nadmieniliśmy, okres neolityczny jest najobficiej reprezentowany wszelkiego rodzaju zabytkami z wszystkich okresów przedhistorycznych Galicji wschodniej. Zwłaszcza ostatnie jego wieki, zbliżające się już do okresu bronzowego, doprowadziły do niebywałego przedtem rozwoju kultury, charakterystycznej pięknymi wyrobami glinianymi, pokrytymi jedno- lub wielobarwnemi malowidłami ornamentacyjnemi. Taki sposób zdobienia wyrobów ceramicznych nie był znany ani przedtem ani w późniejszych czasach wieków przedhistorycznych i z tego względu jako właściwy jedynie późniejszym czasom okresu neolitycznego najdobitniej charakteryzuje ostatnią epokę jego, zwaną archaiczno-mykeńską.

W epoce tej wykazującej już znaczny rozwój kulturalny, zamieszkiwał człowiek ówczesny wielki obszar Galicji wschodniej, zwłaszcza dzisiejsze powiaty: borszczowski, husiatyński, zaleszczycki, horodeński, tłumacki i trembowelski. Jednak i dalej wzdłuż brzegów Dniestru i jego dopływów sięgały inne osady tej inteligentnej ludności, rozpostartej na ogromnem terytorjum od Karpat po Morze czarne. Południowo-wschodni kąt

Galicji, sąsiednia Bukowina, Rumunja i Ukraina oto kraje, wykazujące dziś ślady osadnictwa ludności neolitycznej, wyrabiającej masowo ładne naczynia malowane, doprowadzone do niebywałej przedtem doskonałości. W Galicji znamy do dzisiaj 27 miejscowości z śladami tej kultury, a z pomiędzy nich najsławniejsze i jako tako zbadane, przedewszystkiem Bilcze złote nad Seretem, Horodnica nad Dniestrem, Kudryńce i Uście biskupie. Nadzwyczaj bogatą stacją była Horodnica badana przez Wł. Przybysławskiego i dra Kopernickiego. W Bilczu złotem prowadzono rozkopy w jaskini Werteby staraniem właścicieli ks. Sapiehów, którzy wszystkie znaleziska oddali muzeum Akad. umiej. w Krakowie. Wprawdzie przedmioty wydobyte tam posiadają nie małą wartość naukową, ale nie można powiedzieć, iżby bez zarzutu były wydobywane z ziemi. A wiedzieć należy, iż Bilcze, zwane z powodu ogromnego bogactwa zabytków kopalnianych Pompejami naddniestrzańskiemi, obok Horodnicy nad Dniestrem, stanowiło najobfitszą kopalnię wiadomości i resztek nadzwyczaj ciekawej „kultury naczyń malowanych".

B. Janusz.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Lubicz Stanisław: »Sprawa włościańska w Polsce porozbiorowej«. Kraków 1909. Nakładem Muzeum Narodowego w Rapperswillu.

O sprawie włościańskiej, jednem z najważniejszych zagadnień historji społecznej Polski, pisało wielu. Zawsze ile razy zamierzano przeprowadzić reformy w tej sprawie, tyle razy omawiano ją w całym szeregu artykułów i broszur. Z tego powodu literaturę taką ma i sejm czteroletni i okres genetyczny królestwa kongresowego, ma ją i powstanie listopadowe, emigracja i ruchy insurekcyjne z lat 1846 i 8, a wreszcie okres powstańczy z r. 1863.

Cechą charakterystyczną tej literatury jest zawsze jej aktualność. To też gdy reformy zostały ostatecznie przeprowadzone przez nadanie w r. 1864 włościanom w Królestwie Polskiem ziemi na własność --- zmniejszyło się znacznie zainteresownnie się tą sprawą, znikła też, a przynajmniej ograniczyła się do bardzo małych rozmiarów i produkcja literacka o niej

Stąd poszło, że dotychczas nie pojawiło się dzieło, dające całokształt stosunków wieśniaczych w Polsce, choćby tylko po rozbiorach. Dotąd mamy tylko rozprawy Cyprjańskiego, Korzona, Grabskiego, Askenazego i paru innych. Są one wprawdzie bardzo dobre, ale nie wystarczają ponieważ traktują kwestję włościańską, albo tylko w pewnej epoce, albo nawet jako rzecz uboczną — wpleconą tylko do innego tematu, dla zaokrąglenia obrazu.

Mimo coraz bardziej przystępnych źródeł, mimo nawet od szeregu lat rozpisywanego przez Akademję konkursu ofiarującego znaczne nagrody za napisanie historji włościan w Polsce — dzieło takie dotąd się niepojawiło.

Dobrze więc zrobiła Rada Muzeum Narodowego w Rapperswylu, iż wydała dziełko p. Lubicza. Niema ono pretensji do naukowego rozwiązania tego doniosłego problemu dziejowego, bo oparte jest tylko na materjale drukowanym i ogranicza się do podania sprawdzonych faktów, lecz ma ono wartość, jako pierwsza próba, dająca przegląd historyczny rozwoju tej kwestji od połowy XVIII w. do dni naszych.

Rozprawka ta dzieli się na trzy główne części, omawiające I. sprawę włościańską w Polsce w drugiej połowie XVIII w. II. Uwłaszczenie włościan w trzech zaboracu i III. Po uwłaszczeniu.

Rozdział pierwszy oparty przeważnie na dziele Korzona, omawia dążności reformatorskie głównie sejmu wielkiego i Kościuszki. Następny, najobszerniejszy, przedstawia dzieje włościaństwa w trzech zaborach i dochodzi do r: 1864. W rozdziale trzecim autor opisuje skutki uwłaszczenia i kreśli losy włościan do dni ostatnich.

Rzecz cała pisana stylem potoczystym i zajmująco. Choć autor nie wyzyskał wszystkiej literatury, jaka się do tego przedmiotu pojawiła i choć wynikły z tego powodu nieformalności i omyłki, jak n. p. fałszywy sąd autora o działalności sejmu Królestwa Polskiego, to jednak całość robi dodatnie wrażenie.

Natomiast nie godzimy się na sądy autora mniej pewne w rozdziale trzecim, traktującym o czasach najnowszych. Tu już opuszcza go towarzyszący mu przez oba pierwsze rozdziały tej książki objektywizm. Zwłaszcza zapatrywania jego na ruch ludowy w Galicji i działalność Stronnictwa ludowego w wielu szczegółach i głównie w końcowym wywodzie powinny uledz dość ścisłej korekturze.

Zresztą okoliczność, że sądy autora, dobrego zresztą znawcy stosunków włościańskich w Królestwie Polskiem, gdzie był między innymi też i jednym z sekretarzy owego wielkiego wiecu włościańskiego, który się odbył w warszawskiej Filharmonji 17. grudnia 1905 r. wypadły dla Stronnictwa ludowego niezbyt przychylnie, znajduje usprawiedliwienie w nieobyciu autora z terenem galicyjskim i w patrzeniu jego przez pryzmat stronnictwa narodowo-demokratycznego, o którego działalności w Królestwie Polskiem, a nawet i w Galicji. rozpisuje się z samemi tylko pochwałami,

Są to usterki, które jednak nie przeszkadzają, by książka ta była z pożytkiem czytana.

Dr. Bronisław Pawłowski.

Kwartalnik litewski. Wydawn. poświęcone zabytkom przeszłości, dziejom, krajoznawstwu i ludoznawstwu Litwy, Białorusi i Inflant. Redaguje Jan Obst. Petersburg 1910. Rok I. Tom 2. 80 str. 160 z licznemi tablicami i rysunkami. Cena 1·50 rb.

Nie bogata jest dotychczas literatura nasza w krajoznawcze wydawnictwa, mogące się równać z niniejszem kwartalnikiem. Z wielkiem zainteresowaniem bierze się do ręki sympatyczny już na oko tom kwartalnika i przerzuca się kartkę po kartce, przesiane obficie wykonanemi starannie tablicami i ciekawymi rysunkami w tekście. Doskonale objaśniają one umieszczone w tekście rozprawy. Spotykamy się tu z poważnym badaczem i znawcą dziejów inflanckich C. Manteuffllem, który opowiada dzieje starostwa Marjenhauskiego, ilustrując je podobizną warownego klasztoru marjenhauskiego. W. Szukiewicz zebrał »Niektóre wierzenia, przesądy i zabobony ludu naszego« W. Ciechowski zebrał garść ciekawych wiadomości o czasopismach polskich na Litwie, podając przy tem portrety Czackiego, Jundziła. Jana i Jędrzeja Śniadeckich i t. d. Jan Bułhak opisuje i ilustruje »Zamek w Mirze«. M. Makarenko zebrał moc wiadomości i rysunków z dziejów przedhistorycznych gub. kowieńskiej. Między innemi rozprawami ciekawa jest Marka Gozdawy o »Szkołach w woj. połockiem w XVIII w. po pierszym kraju rozbiorze«. Tom otwiera obszerniejsza wzmianka o El. Orzeszkowej. Prócz wspomnianych rzeczy tom cały zawiera jeszcze więcej zajmujących przyczynków i artykułów rozmaitej treści z dziejów krajów litewskich i białoruskich.

B. J.

Z „Drukarni Polskiej". Nakładem „Kurjera Lwowskiego.